

A photograph of a tree trunk with moss and a blurred background of a pond and foliage.

Adolf Dygasiński

AS

Adolf Dygasiński

As

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Adolf Dygasiński
„As”

Copyright © by Adolf Dygasiński, 1927
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Polska Drukarnia w Białymstoku
Wydawnictwo: Biblioteka Groszowa
Warszawa, 1927

ISBN: 978-83-8119-424-2

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

ROZDZIAŁ I.

Albin Zabrzeski. — Były właściciel majątku ziemskiego i były nadleśny. — Wyżeł. — Warowanie i aportowanie. — Psy na placu Ewangelickim^[1] i na Zielonym^[2]. — Sześć sióstr panien. — Czarne oczy Morusieńki.

Pan Albin Zabrzeski, warszawski elegant, jeden z takich, co to pierwszyby się nie zawahał chodzić na czworakach, gdyby mu bieżąca moda nakazywała. Przed kilku laty można go było widzieć wystawającego przy szybach różnych modnych sklepów galanteryjnych i jubilerskich. Uperfumowany, z grzywką na czole, z włosami, troskliwie przez sam środek głowy rozczesanymi, płaszczyk z pelerynką, laska o rączce z kości słoniowej — wszystko, od kapelusza aż do skarpetek, ostatni żurnal. Na to przyozdobienie swej osoby nie potrzebował wcale pracować. Dzięki spuściźnie po ojcu, mógł żyć dostatnio i w bezczynności. Takemu dobrze na świecie: rzadkie rozrywki i przyjemności innych ludzi są to jego zwyczajne zajęcia.

Coś dziesięć lat tak przeżył i w trzydziestym piątym roku życia zaczął się odzywać do ludzi, z którymi żył bliżej: — „Słowo honoru daję, nieznośne i głupie jest życie”. Mówił to, ziewając, i tonem ofiary, która wśród poświęceń odkrywa światu nieznaną dotąd prawdę.

Zrobił się kwaśny, w rzeczywistości nic szczerze nie lubił. Do teatru uczęszczał teraz tylko przez nałóg, na balach tańczył jak z musu, w winta przegrywał lub wygrywał obojętnie, zarzucił modny obecnie sport na bicyklu i już nie chciał o nim słyszeć. Ale co tu mówić: on na piękną kobietę spoglądał przez szkiełko w oku z fizjognomją człowieka, który po raz trzeci został

wdowcem.

Wśród takiego rozbicia pan Albin zaczął poszukiwać ocalenia w knajpach, gdzie niekiedy można znaleźć wesołe towarzystwo i zabawić się cudzym dowcipem. Przypadł mu jakoś do smaku ten rodzaj spokojnego sybarytyzmu na nowym forum. Zaglądał naprzód dosyć pilnie „Pod daszek”, gdzie, jak wiadomo, jadają śniadania i kolacje dziennikarze, literaci, artyści i rozmaity naukowy proletarijat, który lubi wydać, a nie może częstokroć zarobić. Nie każdego tam ciągnie półmisek i butelka, więcej chęć spotkania ludzi, uprzyjemnienia sobie nudnego aktu odżywiania. Stosunków przyjaźni, koleżeństwa nikt zapewne nie poszukuje na tej drodze; ale spotkać się w knajpie z przyjacielem, kolegą jest równie dobrze, jak i gdzie indziej. Jeden drugiemu niemo wtedy mówi: — „Bądź moim ulubionym kwiatem podczas biesiady!”

Niczym kwiatem nie był Zabrzęski, tylko jemu samemu przez pewien czas było tu dobrze. Śniadanie jadał przy stoliku dziennikarzy i grywał o konjak w tak zwaną „derdymałkę”, co się niekiedy zaciągało do czwartej po południu. Gdy przychodził wieczerać, zawadzał o inne jakie kolegum, i tak mu dzień schodził.

Mężczyźni, gdy już przejdą poza okres dojrzałości i zaczynają więdnąć, w rozmowach swoich bardzo chętnie zwracają się ku płci pięknej. Niejeden sam z sobą prowadzi monologi na tenże temat, bodaj nie z płaczem; ale odbija się zato w towarzystwie, drwiąc wesoło z takich spraw, które go przed chwilą mocno bolały. Wiele tomów dałoby się ułożyć z dowcipów, żartów i anegdot, opowiadanych w kółku artystyczno-literackim „Pod daszkiem”, a zawsze stosowanych do rodzaju żeńskiego.

Patrząc na tych, po największej części dobrze już podtatusiałych, biesiadników, musiałś mimowolnie pomyśleć: „Co zamiera w życiu, zmartwychwstaje w pieśni”. I to jest dobre, jako mały dodatek do życia.

Ta sfera jednakże nie była odpowiednia dla pana Albina, który z owym gronem ludzi, oprócz sympatji dla takich rozmów, nie miał zresztą nic a nic wspólnego. Czuł on przytem, że go tutaj lekceważą, i to wrażenie zatruwało mu rozkosz słuchania dowcipów. Kiedy nareszcie pewien złośliwy literat wyraził się o jakimś budynku, że to jest: „styl cielejącej główki z grzywką nad czołem, rozczesanej przez środek i w płaszczyku z pelerynką”, Zabrzęski wziął przycinek do siebie, i zakład „Pod daszkiem” stracił gościa.

Jadał potem śniadania na Miodowej z adwokatami. Ale wśród wszystkich zawodów sybarytyzm palestry jest najmniej powabny: prawnicy jedzą i piją szybko, rozmawiają o rzeczach poważnych i najczęściej są zarozumiali, jak prorocy. W głowie przeciętnego warszawskiego adwokata tkwi zawsze podczas śniadania: ostatni proces, ostatnia partja winta, ostatnie wielkie bankructwo. Naturalnie, nie brakuje wyjątków... Między prawnikami pan Albin znowu zaczął wątpić o wartości życia i postanowił jadać śniadania samotnie.

Przeniósł się więc na plac Teatralny do Müllera, gdzie jednak nie zdołał uniknąć znajomości z niejakim panem Wincentym, byłym właścicielem majątku ziemskiego i z panem Marcinem, byłym nadleśnym. Ci dwaj nowi towarzysze, jako ludzie bez zajęcia, mieli bardzo wiele czasu do zabicia. Opowiadali oni, że poszukują w Warszawie posad, że tutaj niedawno przybyli, że im się miasto bardzo podoba, chociaż — drożyzna i t. d.

Barczyści, ogorzali, prostoduszni wieśniacy nazywali Zabrzeskiego „panem dobrodziejem” i okazwali mu tyle szczerego szacunku, że go tem dziwnie za serce wzięli. Słuchali uważnie a śmiali się do rozpuku, kiedy im opowiadał rozmaite anegdoty, zaczerpnięte z literackiego kółka „Pod daszkiem”. Pochlebiało to wywiędłemu mieszcuchowi, że takie żubry mają dla niego uznanie, którego on gdzie indziej nie znajdował. Kiedy się bliżej już z nimi poznał, a wyczerpał prawie wszystko, co miał do powiedzenia, zaczęli oni dopiero mówić.

Doświadcza się znacznej przyjemności, czytając różne opisy i opowiadania utalentowanych autorów; ale potęguje się jeszcze zadowolenie, gdy nam ktoś żywym słowem i z talentem przedstawia obrazy przygód, których on sam osobiście doświadczał. Pan Wincenty i pan Marcin byli to zapaleni myśliwi, a w opowiadania swoje myśliwskie wkładali cały zapał, całą energję owej namiętności, co to bez względu na niewygody, niebezpieczeństwa pędzi człowieka z kniei w knieję i skazuje go na życie cygańskie. Ustaliło się przekonanie, że myśliwi sławnie kłamią. Jest to przyznanie myśliwym zdolności, jakimi się odznacжали: Homer, Wergiljusz, Tasso, Dante, Cerwantes i inni poeci. Niech zmyśla ten, kto umie pięknie zmyślać! Naga prawda bowiem jest nieraz nudna, gdy jej sztuka nie przystroi w nadobne szaty zmyślenia.

Były ziemianin i były nadleśny posiadali ważne warunki autorstwa: szczerze kochali swój przedmiot opowiadania, znali go nawylot i posiadali język prosty, jędrny.

Każdy wie, że mnóstwo arcydzieł niedrukowanych przepada razem z imionami swych twórców. Czyż talent i miłość tworzenia jakiego Sabały koniecznie chodzi w parze z pretensją

do drukowania?

Pachniało naokoło rozpróżnionego paniczka, gdy jego towarzysze żywo malowali obrazy kniej, niedostępnych wertepów, jarów w różnych porach roku. Nikt lepiej od myśliwego nie zna piękności wschodu i zachodu słońca, uroków nocy na pełni księżyca i ciemności, pełnej grozy. Cóż mówić o śmiertelnych nieraz zapasach z dzikimi olbrzymami borów, o zgiełku psiarni, rogów myśliwskich, o huku strzałów? Tak jak przygody Robinsona ogarniają umysł dziesięcioletniego chłopca, podobnież opowiadania myśliwych podbiły zupełnie umysł Zabrzeskiego. Oni ciągle wyczekiwali na jakieś posady, ciągle ich spotykał zawód, ciągle mieli dużo czasu do zabicia i tonęli we wspomnieniach życia przeszłego. On wysysał niejako ich zapał i coraz bardziej przejmował się żyłką myśliwską.

Pod takim wpływem pozostawał pan Albin pewnie ze trzy miesiące i został czysto teoretycznym myśliwym. „Myślistwo jest bardzo przyjemną i szlachetną rozrywką; muszę się wziąć do tego sportu!” — tak sobie nieraz myślał w duszy.

Tymczasem owi nieocenieni towarzysze śniadaniowi naprzód zaczęli kwaśnieć i tracić chęć do gawędy, następnie przestali bywać u Müllera, gdzie ich służba nazywała „ćwikami”. Po panu Wincentym i po panu Marcinie zostało tylko wspomnienie, że pierwszy zjadał na śniadanie kopę kołdunów, drugi — łokieć kiełbasy z kapustą i że obaj brzydzili się czarną kawą z likierem, a pijali węgrzyna tylko.

Gdzież się podzieli ci ludzie? Może wyjechali z Warszawy, może dostali posady i wzięli się do pracy, a może jadali śniadanie gdzie indziej.

Kiedy się teraz Zabrzeski przeniósł do Stępkowskiego i tam

na śniadaniach spotkał znowu towarzyszy, ale już nie myśliwych, rozprawiał z nimi tylko o polowaniu. Przejął się zaś do takiego stopnia duchem myśliwskim, że prawdziwe i nieprawdziwe zdarzenia przedstawiał jako własne życiowe doświadczenia; co więcej, zupełnie samodzielnie tworzył nowe opowieści, anegdoty. Można go istotnie podziwiać z tego względu, iż nigdy w życiu nie był na polowaniu, lasy znał jedynie z okien wagonu kolei żelaznej i z malowanych pejzażów, a strzelał tylko do zawieszonych butelek na Saskiej Kępie, do tekturowych zwierząt w Promenadzie, do jajka na wytrysku fontanny w Bellevue. Jego ciekawe opowiadania wytworzyły atoli w umysłach nowych towarzyszy niezłomne przekonanie, iż mają do czynienia ze znakomitym myśliwym, w co ostatecznie i on sam uwierzył zczasem. Żeby opinii takiej nadać poważny charakter, począł uczęszczać do strzelnicy, gdzie usilnie uprawiał się w celne strzelanie. Następnie poszedł jednego dnia do magazynu Ronczewskiego i sprawił sobie tam wszystko, czego myśliwy potrzebuje, naturalnie, oprócz rzetelnie myśliwskiego animuszu. Kupił więc odtylcową dubeltówkę z dwiema parami luf i w mahoniowym pudle, ładunki pierwszego gatunku z prochem cesarskim, torbę myśliwską, trąbkę, świstawkę, kordelas, flaszkę na wódkę i co tam jeszcze. Jakkolwiek nie zarzucił ani grzywki, ani rozczesywania włosów przez środek głowy, nosił teraz jednak niekiedy bury strzelecki kapelusz z piórkiem i polecił krawcowi, aby mu sporządził myśliwskie ubranie.

U wszystkich znajomych dowiadywał się, czy kto nie ma na zbycie dobrego wyżła, a gdy go zawodziły te poszukiwania, podał do Kurjera treściwe ogłoszenie: „Chcę kupić rasowego

i dobrze ułożonego wyżła". Kto posiada dobrego psa, przypadkiem tylko zmuszony, może go mieć do sprzedania; przeto różni ludzie, zgłaszający się z wyżłami, usiłowali wetknąć panu Albinowi psy pokojowe, które umiały wykonywać najrozmaitsze sztuczki: jeden skakał przez kij i na zawołanie „ciepło!” zrywał czapkę z głowy, inny znowu wyciągał z kieszeni chustki do nosa, nosił za panem laskę i t. d. Mnóstwo było do zbycia tych psich błaznów, a Zabrzeski ciągle się wahał. Nareszcie przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie nabyć młodego wyżła i albo go własną pracą ułożyć, albo oddać gdzie na naukę. Wpadł mu zaś był w oko bardzo przyjemny z powierzchowności, fertyczny, czarny, jak kruk, ponter, imieniem As.

Bywają ludzie z bardzo krewkim temperamentem; ale największy nawet narwaniec-człowiek nie daje się porównać z psem warjatem, zwłaszcza gdy pies okazuje wesołość, ochotę. Gdy się zdarzy taki sangwiniczny wyżeł, wpadający w szały, potrzebuje on wytrawnej ręki wychowawczej, aby go uczyniła dobrym, mądrym psem myśliwskim — i to we właściwym wieku. As stanowił ideał psa-szaleńca. Sprzedał go był jakiś mieszkający na Sewerynowie emeryt, który miał sześć córek, i te z młodym wyżłem wyprawiały w domu takie hałasy, że stary nie mógł się oddawać swej nałogowej poobiedniej drzemce. Tyranizowany przez córki, nie śmiał im zabronić swawoli zgiełkliwej i przemyślał tylko, jakby się tu pozbyć nadzwyczajnie hałaśliwego psa. Otóż, kiedy wyczytał w Kurjerze ogłoszenie pana Albina, nikomu nic nie mówiąc, wyprowadził potajemnie z domu Asa i sprzedał go szczęśliwie.

Zabrzeski niebawem sprawił sobie książkę o układaniu

wyżłów i systematycznie rozpoczął domową edukację psa, polegającą na nauczaniu warowania i aportowania. Wyraz „waruj!” był teraz ciągle na ustach pana Albina. Jednakże As, który wiek szczenięcego żywota spędził między pannami, karmiony przysmakami i pieszczony do zbytku, uważał sobie takie „waruj!” za proste wezwanie do figlów i w odpowiedzi na to szczekał zapalczywie, wyskakując jak szalony przed swym nauczycielem. Stosownie do przepisów książki, nauczyciel przyciskał nieraz ucznia ręką do ziemi, z ogromnym naciskiem wykrzykując: — „Waruj, waruj!”. Ale skoro tylko ręka pofolgowała, As się natychmiast zrywał i w dwójnasób wynagradzał sobie takie przymusowe zahamowanie energii. Co tu począć?

Książka radziła, ażeby — w razie, gdy nie skutkują środki łagodne i pies okazuje upór — użyć sposobów surowych, to jest zastosować powszechnie znaną, a słusznie przez długi czas cenioną metodę patyka. Chociaż nie fachowy pedagog, Zabrzecki wiedział, że ból, doświadczony na własnej skórze, obudzą pożyteczne uczucia obawy, która z kolei rzeczy wiedzie do posłuszeństwa czyli do zaniechania upor. Zdawałoby się, że to spostrzeżenie psychologiczne jest prawdą niezaprzeczoną i że trzeba nie mieć oleju w głowie, aby się rzec tak skutecznego środka, a jednak...

Nie wskórawszy nic a nic w pierwszym tym dziale domowej edukacji, nauczyciel uznał za rzecz właściwą przystąpić do działu drugiego, to jest do niezmiernie trudnej nauki aportowania. Dla psa flegmatyka, z usposobieniem leniwem, warowanie niewiele nastęcza trudności, gdyż spoczywa ono już w usposobieniu: pies-próżniak i bez nauki kładzie brzuch na

ziemi, głowę — między wyciągnięte przednie łapy i leży. Wyżeł z żywym, gorącym temperamentem ma już we krwi niejako aportowanie. Oh, As okazywał aż nadto pochopności do chwytania w zęby wszystkiego, co się nadarzyło. Gdy raz znalazł na sofie otwartą książkę o układaniu wyżłów, wlaź z nią pod sofę i tam doszczętnie podarł, pogryzł. Za to otrzymał znowu chłostę szpicróżgą i wprawdzie nie utracił chęci do brania w zęby innych przedmiotów, ale sam widok książki napełniał go nieopisaną trwogą. Pokazuje się, że aby oduczyć, trzeba bić za każdą rzecz; aby nauczyć, bicie często nie pomaga. Mocna wiara w uogólnione teorie prowadzi wychowanie psów na manowce: psy — są to indywidualności.

Pan Albin też coś jakby pojmował, iż spełnianie rozkazu „waruj!” brzmi dla Asa ponuro, przechodzi poniekąd jego siły; tymczasem „aport!” pobudza go do czynności. Za podnoskę do aportowania miał posłużyć okaz wypchanej wiewiórki, stary grat, wyciągnięty z pomiędzy rupieci. Naszemu wyżłowi aż się ślepie zaiskrzyły, gdy pan jego z wyrazem „aport!” na ustach trzymał w ręku wiewiórkę.

Owe lekcje tak wypełniały czas Zabrzieskiemu, że teraz później jadał śniadania, wcześniej powracał do domu z kolacyj, wstawał regularnie o ósmej z rana i zaraz się zabierał do lekcji z wyżłem.

Już po upływie dwóch dni nauki wydało się panu Albinowi, że As zrobił znaczne postępy w aportowaniu, gdyż jakkolwiek nie odnosił jeszcze panu podniesionego przedmiotu, pozwalał go sobie jednak odbierać. To też trzeciego dnia rano, nauczyciel, dumny z osiągniętych rezultatów a pełen nadziei na przyszłość, pod najlepszą wróżbą rozpoczął swoją pracę. Za pierwszym

rzuceniem podnoski i na zawołanie „aport!”, As z właściwą sobie skwapliwością i zwinnością poskoczył, ślizgając się po woskowanej posadzce, o którą stukały jego pazurki. Pełen zapału, pochwycił w zęby upragniony przedmiot, ale ani myślał odnosić go panu, tylko co tchu zmykał gdzieś tam na tyły mieszkania. Właśnie o tej porze służący Franciszek powynosił z mieszkania na dziedziniec meble, aby z nich kurze wytrzepać, i zostawił tylne drzwi otwarte, co pozwoliło wyżłowi swobodnie wymknąć się z domu.

— As, do nogi!... As, aport!... — wołał Zabrzeski, stanąwszy w negliżu przy lufciku.

Pies spojrzał parę razy w okna pierwszego piętra, jakgdyby drwił z krzyków swego mistrza, a potem wyciągnął się pod pompą według przepisowi o warowaniu i, trzymając między przednimi łapami wypchaną wiewiórkę, zaczął ją pracowicie patroszyć.

Krzyk pana Albina posłyszał trzepiący meble Franciszek i chciał wyżła zawrócić do mieszkania. To mu się nie udało, gdyż zbieg porwał podnoskę i, z podniesionym w górę ogonem, bardzo rażno, ochoczo derdnał za bramę. Zaraz na ulicy spotkał go inny pies, pudel z pochodzenia, właśnie kończący obwąchiwanie węgła domu, a teraz zaciekawiony w najwyższym stopniu przedmiotem, niesionym przez Asa w zębach. — „Coby to mogło być takiego?”...

Ponieważ Zabrzeski mieszkał przy Erywańskiej,^[3] przeto wyżeł, wydostawszy się na ulicę, niedaleko miał plac Ewangelicki, dokąd też żwawo się puścił, a za nim pędził w derdy ów rozciekawiony pudel, pragnący namiętnie zajrzeć zbliżka Asowi w zęby. Za psami, w odległości kilkunastu kroków,

podążał służący Franciszek z trzepaczką w rękę, złowrogiem spojrzeniem w oku i przekleństwem na ustach:

— Bodaj jasne pioruny spaliły taką służbę!...

Mało kto może zwrócić uwagę na to, że plac Ewangelicki jest oddawna ulubionym punktem zbornym psich schadzek, szczególnie w godzinach porannych. W porze letniej, jak tylko się rozpocznie dzienny ruch miejski, można się tutaj przyjrzeć wielce uciechowym scenom psich figlów. Właśnie i teraz wyprawiał tam harce, skoki, pląsy jakiś nadzwyczajnie zwinny mopsik z ogonkiem, w kółko zakręconym, i w obróżce z dzwoneczkami. Za współzawodnika w turnieju popisowym miał ten psi akrobata atletę — ogromnego popielatego doga z obciętemi uszama, w szerokiej metalowej obroży z monogramem swego pana. Kilka innych psów, w charakterze widzów, zdawało się brać żywy udział w widowisku: opasty, gruby w karku i pysku, z obwisłymi policzkami buldog; delikatny, wątłej budowy charcik, na którym, mimo ciepłych promieni słońca, drżała febrycznie skóra przywykła do pokojowej atmosfery; pudel przez nożyce na lwa wystrychnięty; wyżeł, co sfilistrzał w mieście, używając ze swym panem tylko raz na dzień przechadzki od domu do knajpy; nareszcie jakiś mieszaniec, skrobiący się nieustannie tylną łapą po wełnistym karku.

Niektóre z nich stały, inne przysiadły na ogonie, przyległy na brzuchach, a z ich fizjognomij można było wyczytać, że gdyby tylko posiadały ludzkie dłonie, z pewnością biłyby mopsikowi oklaski. Inteligencję i pełną wdzięku zręczność malców widocznie psy nawet cenią wyżej, aniżeli brutalną siłę olbrzymów.

Pojawienie się na placu Asa i pudła, nieustannie Asowi zaglądnącego w zęby, przerwało wesołą zabawę. Wszystkie psy, ile ich tam było, zwróciły ciekawe oczy na przybyszów, a każdy zdawał się wzrokiem zapytywać:

— Co też ten wyżeł może nieść w zębach?

Niebawem wielki dog pierwszy przyskoczył do Asa, nastroszył się okrutnie i musiał mu warknąć do ucha jakąś brutalną groźbę, gdyż młody wyżeł bojaźliwie spuścił ogon, pokornie się przypłaszczył i jednocześnie wypuścił z zębów wiewiórkę. W tejże chwili lotem strzały przyskoczył mopsik, chwycił upuszczoną podnoskę i pognał z nią w cwał przez plac, a za nim popędziły teraz wszystkie psy, nie wyłączając Asa i przybyłego z nim pudła. Cała ta gromada obiegła naokoło kościoła, poczem zjawiała się znowu na placu, naprzeciwko pałacu Kronenberga. Już ten, już ów zaskakiwał drogę mopsowi, który jednakże umiał się zawsze zręcznie wywinąć, a w ostatnim razie uchodził popod brzuchami psów większych.

Żywym ruchem roіło się to psiarstwo; z wiewiórki na wszystkie strony wylaziły jakieś kłaki, a co ją który pies dopadł, skubnął, potem się zatrzymywał, smakował i usiłował wypluć pakuły, oblegające mu podniebienie.

Tak się tutaj rzeczy miały, kiedy niespodziewanie wtargnął na plac Franciszek, uzbrojony w trzepaczkę do mebli. Fizjognomja człowieka, pełna goryczy, jego chód niecierpliwy, ruchy niespokojne i ta trzepaczka, wyglądająca jakoś podejrzanie w rękach ludzkich, wszystko to sprawiło, że As, jakby poczuwając się do winy, zaczął rejterować. Inne psy widocznie pozostawały w niepewności, co czynić, i wyczekiwały dalszego przebiegu wypadków. Atoli mopsik naraz wypuszcza z pyska

podnoskę, odważnie naciera na Franciszka i szczeka zapalczywie. Pozostałe psy, zachęczone przykładem, tak dalece nabrały otuchy, że nawet As, dezertier, zawrócił i dopiero cała ta psiarnia opadła służącego, zuchwale nań nacierając, zajadle go oszczekując na różne głosy. Zaskoczony Franciszek używał trzepaczki, jako broni odpornej, przytem, idąc tyłem, wycofywał się z trawnika, pewny, że skoro dotrze do głównej alei placu, psy zaniechają dalszej napaści. Biedak zapomniał, że aleję główną oddzielają od trawnika pręty grubego drutu, przeciągnięte między drewnianymi słupkami! Skoro więc w swoim cofaniu się natrafił nareszcie nogami na ową zdradliwą przeszkodę, poderwany zniecka, padł tyłem jak długi na główną aleję, nakrywając się nogami. Nie przewrócił on wprawdzie przechodzącej tamtędy właśnie jakiejś otyłej niewiasty, ale upadkiem swoim narobił jej takiego strachu, że baba wrzeszczała, jak opętana. Powstały stąd zamęt usposobił psy do odwrotu, do czego może się też przyczynił i widok stójkowego, który już nadchodził w groźnej postawie.

Cała czereda z mopsikiem na czele, powywieszawszy języki, puściła się drogą poza kościołem; następnie przebiegła wskok ulicę Erywańską między snującymi się dorożkami i wypadła na plac Zielony, obiecujący daleko więcej swobody.

Markotny, bo potłuczony, Franciszek powrócił do domu, gdzie krótko a węzłowato oświadczył Zabrzieskiemu, że on godzi się tylko do obsługiwania panów, nie myśli zaś na stare lata zbijać psy po mieście, gdyż od tego są stróże, posługacze i inne podlejsze gatunki człowieka. Potem usiadł w przedpokoju i wymrukiwał, że go przepłacano, aby przyjął służbę w ogrodzie Zoologicznym, a nie chciał, ponieważ uważa sobie za ostatnie

upodlenie usługiwanie zwierzętom.

Pan Albin, człowiek mało stanowczy, zmilczał, udając, iż nie słyszy tych przemów i przycinków; wypytał się tylko służącego, gdzie obecnie As przebywa, i sam osobiście wyruszył na obławę.

Na Zielonym placu było nadzwyczajnie wesoło. Tym razem w przedstawieniu główne role przypadły Asowi i pudlowi. Oba psy w odległości jakich trzydziestu kroków przywarowały jeden naprzeciwko drugiego i bacznie spoglądały sobie w oczy. Nagle As powstał i, czając się, szedł noga za nogą w kierunku pudła, ażeby go niby też to znienacka napaść. Ta psia zabawa jest jakby prototypem znanej gry dzieci „bawmy się w zająca”. Mędrszy bierze zwykle na się w tej zabawie rolę głupiego, a tak się zachowuje, jakgdyby rzeczywisty głupiec był bardzo mądry.

— As, do nogi! — krzyknął Zabrzeki, a głos jego rozkazujący na miejscu stropił wyżła i zupełnie mu odebrał chęć do dalszej zabawy.

Przyzwany w chwili, kiedy właśnie miał się rzucić na rzekomego zająca, a potem go ścigać, wypłoszywszy z kotliny, As, spiorunowany znanym sobie głosem, wstydliwie wtulił ogon pod siebie i, ciągle się oglądając, kłusował w przeciwną okolicę placu, byle jak najdalej od pana. Pudło jednakże nie stracił przytomności umysłu, chociaż występował w roli lękliwego zająca; przez chwilę rzucał bystro oczyma to na wyżła, to na przybyłego człowieka, jakgdyby sobie chciał wytworzyć należyty sąd, o co takiego może tu chodzić. Widocznie zrozumiał wszystko i na tej zasadzie postanowił działać, gdyż truchtem pobiegł do Asa i stanął obok niego. Zabrzeki znowu, podobnie jak znaczna większość ludzi, miał przekonanie, że głupiego psa człowiek zawsze może podejść

chytrą swego rozumu; nieznacznie więc zbliżał się, a udawał takiego, który nie ma zamiaru ani interesu tych dwóch psów niepokoić. Wszystkie zresztą psy, ile ich tam było, wietrzyły widać jakąś zdradę, gdyż poczęły się z placu wynosić, zachowaniem swoim dając mniej więcej do zrozumienia: — „Skoro nie można przewidzieć, co za zamiary ma w duszy ten oto człowiek, przeto na wszelki wypadek lepiej się stąd oddalić”.

Również i As miał chętkę drapnąć, bo skwapliwie zerkał oczyma za pierzchającymi towarzyszami; ale go widocznie przykuwała do miejsca wiara w przyjaźń i rozum pudła, gdyż pozostał.

Co się teraz pan Albin zbliżył na jakie dwadzieścia kroków odległości od obu psów, pudel zaraz brał nogi za pas i gnał na przeciwny bok placu, a za nim podążał wyżeł. W taki sposób Zabrzęski obszedł trzy razy naokoło plac Zielony i dopiero się stuknął w czoło ozdobione grzywką, gdyż zrozumiał nareszcie, iż pudel demoralizuje Asa.

— Czekaajcież, nicponie, pokażę ja wam! — zawołał i skinął na stojącego przy hotelu Francuskim posłańca, któremu wydał polecenie w tych słowach:

— Ten czarny pies należy do mnie i trzeba go koniecznie oddzielić od tamtego białego pudła!

Dwaj ludzie, jeden w kapeluszu, drugi w czerwonej czapce, obaj uzbrojeni w laski, stanęli teraz naprzeciwko dwóch psów, ażeby rozerwać ich przyjacielski związek.

Pudel, jak się zdaje, odrazu zrozumiał, że co dwaj nieprzyjaciele, to nie jeden, że więc nie należy się silić na wynajdywanie chytrych środków obrony na małej przestrzeni placu, ale trzeba sobie zdobyć większe terytorjum. Pudel rzucił

się w Rysią ulicę, pozostawiając towarzysza wśród nieprzyjaciół. Głupio się musiało zrobić na sercu Asowi, gdy stracił przyjaciela i przewodnika, a pan jego przyzwał teraz do pomocy aż dwóch nowych posłańców. Tymczasem pudel obiegnął tylko naokoło przez Marszałkowską i niebawem zjawił się poza łańcuchem obławy, szczekaniem uwiadamiając wyżła o fortelu. Usłyszany głos sprzymierzeńca dodał wyżłowi otuchy. As rozpędził się, uderzył na słabszy punkt czat nieprzyjacielskich, a choć w przelocie dostał od Zabrzeskiego kijem, złączył się jednak z pudlem. Obaj druhowie puścili się teraz kłusem około cukierni Sztengla, przez krótką tylko chwilę przystanęli na rogu przy domu Blocha, porozumiewawczo spojrzeli sobie w oczy, a potem w cwał uderzyli na bramę ogrodu Saskiego. Nie zdobyli tu sobie jednak wejścia, ponieważ bacznego policjanta energicznie zagroził im drogę, przyczem pudel otrzymał potężne pchnięcie piętą.

Z tej przeszkody niewiele sobie widać nasze psy robiły, gdyż podniosły w górę ogony i pobiegnęły jeden obok drugiego na plac Ewangelicki, stanowiący, jak wiemy, rodzaj psiej resursy. Nie był to czas stosowny do oddawania się zabawie, połączonej z ruchem fizycznym, gdyż czerwcowe słońce wysoko już jaśniało na niebie, żarem swym piekąc ziemię. Kompanja, która teraz przebywała na placu Ewangelickim, składała się głównie z takich psów, co to nie mają gdzie głowy schronić i prowadzą nocny sposób życia, a w upalne dni letnie wysypiają się po placach w cieniu drzew i krzewów — psy bez oznaczonego sposobu do życia, zawsze głodne, gotowe kraść lub przyjąć pierwszą lepszą służbę bez namysłu. Te sponiewierane przez nędzę wywłoki, o ile im los pozwoli ujść ręki oprawcy, żyją nieraz miłosierdziem kucharek, młodszych, nianiek, dzieci; niekiedy gryzą

w śmieciach jaki stary trzewik; są nieśmiałe, bojaźliwe i przed każdym człowiekiem z pokorą merdają uniżenie ogonem. Jeżeli człowiek pędzi taki tryb, nazywa się go upadłym, spodlonym; psa można nazwać jedynie nieszczęśliwym. Kilku takich nieboraków, poziewając i z wyrazem obojętności w oku, spoglądało na Asa i pudła, które wyglądały zuchwale, butnie, jakgdyby świadomie dumne, iż prowadzą walkę z ludźmi.

Wkrótce atoli nadbiegli tu także spoceni, pełni skwapliwości posłańcy, co szli za zbiegami jak woda, mając w odwodzie pana Albina. Na ten widok przywykłe do ludzkiego prześladowania psy-żebraki okazały niepokój i jaki taki począł dźwigać swoje zemdlące kości. Pudel, zajmwszy najbardziej odkryte stanowisko, odrazu spostrzegł, że nieprzyjaciele nie zaniechali pogoni i, niedługo się namyślając, poskoczył w ulicę Erywańską wraz z Asem, a z Erywańskiej pognął na plac Zielony. Psy odkryły drogę Kolumba, dobrze teraz wiedziały, że z placu Zielonego łatwo się można dostać znowu na Ewangelicki i tak — wkółko.

Doprowadzony do ostateczności, Zabrzeki jeszcze raz krzyknął straszliwym głosem:

— As, do nogi!

W odpowiedzi na to, oba psy poszły w ulicę Rysią.

Zgrzytnął zębami pan Albin, zły, że wszystkie jego usiłowania rozbiły się o psią przebiegłość. Głodny, zziębnięty, chmurny, oświadczył posłańcom, iż ich wynagrodzi sowicie, jeżeli mu tylko wyżyła dostawią do domu. I poszedł na śniadanie do Stępkowskiego.

Przechodząc przez ogród Saski, ze zdziwieniem spotkał tu pana Wincentego, dawnego towarzysza śniadań od Müllera, i z miejsca opowiedział mu wszystkie swoje zajścia z Asem.

— Ja myślę — mówił stary myśliwy — że pan bierzesz się do nieswoich rzeczy. Ułożenie wyżła, zwłaszcza w starszym wieku, nie jest łatwe.

To twierdzenie swoje uzasadniał pan Wincenty różnemi znanemi sobie przykładami. Szli, stawiali, rozmawiając ciągle, i nareszcie, gdy już wyszli na plac Teatralny, Zabrzski jął zapraszać miłego towarzysza na „wódeczkę” do Stępkowskiego.

— Nie, nie pójdę — odrzekł pan Wincenty, porównywając swój zegarek z ratuszowym. — I tak się już spóźniłem, a Marcin z każdym dniem staje się drażliwszy... Właśnie czeka na mnie u Brajbisza i, jeżeli pan chcesz, proszę na gorzałkę, przyczem pogadamy o Asie.

Pan Albin nie sądził, aby mu Brajbisz zastąpił Stępka, ale poszedł przez grzeczność i w nadziei znalezienia skutecznej rady co się tyczy układania wyżła.

Rzeczywiście, pan Marcin blisko już od godziny siedział w ogródku głodny i zły, bo nie mógł jeść, nie wypiwszy kieliszka wódki, a wódki znowu za nic w świecie nie piłby w pojedynkę. Niegdyś pożerał kołdunów i kiełbasy, jedli teraz sztukę mięsa z ogórkiem, a węgrzyna zastępowało piwo. Potoczyła się żywa rozmowa o wyżłach i ich przysposabianiu do polowania; tylko pan Marcin miał jakiś cierpki humor: ni stąd, ni zowąd przypinał łatki Warszawie, mówiąc:

— Warszawskie łgarstwo, warszawskie błazeństwo!... Nikomu słowa nie dotrzymać, a ciągle dawać „słowo honoru”, to czysto po warszawsku!

Zabrzski się nawet parę razy zarumienił nieco, biorąc do siebie niektóre przycinki, a w duszy sobie myślał:

„Co się stało z tym człowiekiem? Taki uprzejmy, grzeczny był

dawniej!”

Wysapawszy się i zjadłszy ogromny gnat sztuki mięsa z rurą, pan Marcin częściej się odzywał, a gorycz też jego przemówień zmalala cokolwiek.

— Muszę panu przedewszystkiem powiedzieć — mówił do Zabrzeskiego — że „As” nie jest to właściwa dla wyżła nazwa! Jakieś asy, winty Fausty, bardy — mogą być dobre dla mopsów, pinczerów, pudłów i innej psiej mieszczańskiej hołoty, ale nie dla psa myśliwskiego! Następnie, imię wyżła powinno być dwuzgłoskowe, aby pies pojmował, że się go istotnie nazywa... Jedną jedyną samogłoskę może myśliwy z łatwością niedbale wymawiać, co psa tropi tak samo, jak człowieka... Skoro więc wprowadzasz pan do myślistwa karciarstwo, nazwijże swojego wyżła przynajmniej As-pik!

— Pedantyzm, posunięty do drobiazgowości! — odezwał się pan Wincenty.

— Lepiej być pedantem, aniżeli fanfaronem, lekkoduchem! — powiedział z naciskiem były nadleśny, poprawiając sobie włosy, które mu nieustannie odsłaniały łysinę, narażoną przez to na dokuczliwość much.

— Jak na myśliwego, masz za dużo pedantyzmu i przesądów — rzekł były dziedzic tonem, z którego znać było, że domawiając ostatnich słów, żałował, iż je wymówił.

— Za dużo pedantyzmu i przesądów, jak na myśliwego? — zapytał pan Marcin, spoglądając jadowitym wzrokiem na swojego towarzysza. — A czy to mój pedantyzm i moje przesady wylęły się w kolanie czy łokciu, że o nich z lekceważeniem mówi mój kolega myśliwy?... Mnie się zdaje, iż one powstały w mózgownicy, gdzie się wpisuje wszystko, czego

człowiek myślący doświadcza w ciągu życia. O, panie Wincenty, znać na tobie kilkumiesięczny pobyt w Warszawie!... Spudłowałaś już dzisiaj dwa razy: uczynkiem, boś się o godzinę spóźnił na stanowisko, i — językiem, mierząc do zwierzyny, do której nie należy strzelać.

Powiedziawszy to, pan Marcin nawpół z uśmiechem, nawpół poważnie zwrócił się do Zabrzeskiego z temi słowy:

— Myśliwy powinien siebie ułożyć przedtem, nim chce wyżły układać! A cóż to jest ułożenie myśliwego? Jego pedantyzm i przesady! Przesady musi mieć rolnik, żeglarz, rybak; przesady są koniecznością wszędy, gdzie człowiek szczerze i z przejęciem się pracuje.

— Szczerość i przejęcie się pracą może sobie człowiek zostawić, pedantyzm i przesady — odrzucić, a będzie pracował z tym większym rezultatem — mruknął pan Wincenty.

— Mówisz czysto po warszawsku! Słowo w słowo, jak ten szlifibruk w okularach, który mię przed kilku dniami chciał gwałtem ubezpieczyć na życie. Ja mu powiadam: — „Panie, to jest niemoralnie, ażeby żona, dzieci, krewni wyczekiwali na śmierć ubezpieczonego w nadziei zagarnięcia po nim spadku! A on mi odpowiada: — „Przesady, przesady, przesady! Trzeba raz przełamać przesady i iść z duchem czasu, z postępem!” — Innym razem dałem się wciągnąć na jakiś wieczór, gdzie miano jakoby o czemś bardzo ważnem rozprawiać. Patrząc, występuje jegomość chudy, zdechłak, wysuszony w bibule, i pali przemowę o oszczędności, przezorności. Kiedy ten skończył, występuje drugi i przedstawia różne przykłady oszczędności we Francji, Anglii, w Niemczech, mówi, że, odkładając dziennie złotówkę, można mieć za trzydzieści lat tyle a tyle, za czterdzieści —

jeszcze więcej... Zapytuję kogoś, co to wszystko znaczy, i odpowiadają mi: — „Będziemy się zapisywali do przezorności, składając codziennie po złotówce”. — A i poto się zbierać? Przecież ja tę sztukę znam dawno, a jeżeli nie odkładam, to dlatego, że nie mogę i nie chcę robić oszczędności niedorzecznej, bo na własnym organizmie. — „Działalność kolektywna jest cechą czasów nowożytnych, precz z przesądami jednostek!” — wrzasnął mi nad uchem jakiś elegant... Otóż do tego zmierzam, że co jest przesądem dla takich krzykaczy, stanowi dla mnie zasadę życia.

— O pedantyzmie i przesądach w myślistwie była mowa, a ty, Marcinie, w zapale Bóg wie dokąd zajechałeś! — zrobił uwagę były właściciel ziemski i, zwracając się do pana Albina, tak mówił: — Mój przyjaciel twierdzi, naprzykład, i upiera się przy swoim twierdzeniu, że wyżeł, którego bodaj raz dotknęła ręka kobiety, jest już zupełnie stracony dla myśliwego. Ponieważ nie mogę pojąć, co za związek zachodzi między kobietą, wyżłem i myślistwem, nazywam to przesądem i będę tak nazywał!...

— No ale ja rozumiem bardzo dobrze, a to nawet mogę zgóry przepowiedzieć, że taki pies bawidamek jest niezawodnie przez naturę upośledzony!... Do niewiast zbliżają się i lgną wyżły z dolnym wiatrem, nicponie, noszące łeb nisko, które się co chwila zatrzymują i tak głośno węszą w tropach, jakgdyby tabakę niuchały... Jest to moja obserwacja, nie żaden przesąd! Pytajcie się natury, nie mnie, dlaczego wytworzyła ten związek między kobietą a wyżłem!... Ho, ho, wyrazem „przesąd” nikt mnie nie stropi, gdyż ja wolę swoje własne przesady, aniżeli cudze prawdy! Co się zaś tyczy pedantyzmu, to punktualność, drobiazgowość w myślistwie...

Tu pan Marcin machnął lekceważąco ręką, jakby chciał powiedzieć: — „Głupim niema co o tem mówić“, nie dokończył zdania, zapalił zgasłe cygaro i zamilkł.

Zabrzeski zwracał się teraz z zapytaniem, dotyczącym wykształcenia Asa, i otrzymywał odpowiedzi głównie od pana Wincentego. Dopiero przy pożegnaniu, gdy się mieli rozchodzić, przemówił też i pan Marcin, jakoś już udobruchany.

— Niechże się już nazywa i As, choć mi to przypomina pierwsze litery wyrazu asinus!.. Tylko żeby się na nim taki prognostyk — nomen-omen — nie sprawdził, daję panu dobrą radę: jest w Kościejowej Wólce leśniczy, niejaki Benedykt Ochota, ogromny majster, można śmiało powiedzieć: profesor od układania wyżłów; oddaj że mu pan swego wyżła na wyćwikę, a za dobry skutek poręczam!... Ale widzisz pan, ja jestem pedant, nie lubię nic robić pstrum-brum; więc proszę tu zaraz zapisać sobie adres: „Benedykt Ochota w Kościejowej Wólce, ostatnia poczta Skierniewice“. Możecie się porozumieć listownie czy osobiście, jak pan wolisz!...

Kiedy nareszcie pan Albin po tem pożytecznem dla siebie śniadaniu wrócił do domu, zastał tam już wszystkich trzech posłańców, którzy mu teraz na wyścigi, jeden przez drugiego, opowiadali zajmującą historję swoich przygód z Asem. Najciekawszy atoli z tego wszystkiego był koniec. Jak się pokazało, oddzielili oni naprzód pudła, obili go i odpędzili; a wtedy wyżeł, strudzony niezmordowaną pogonią, uchodząc przed obławą, zapędził się aż na Sewerynów. Tam — opiewało sprawozdanie posłańców — wpadł do sieni jednego domu i naraz stał się tak śmiały, jakby na swoich własnych śmieciach: biegał po podwórzu, szczekał, wpadał do różnych sionek, ujadał.

Wkrótce też ukazały się jakieś panie i zaczęły go witać z ogromną radością, wołając:

— Asiunio, Asiunio, kochany Asiunio!

Wówczas najenergiczniejszy z posłańców śmiało się postawił i otwarcie zażądał od tych pan, aby wydały wyżła, którego ściganie kosztowało już tyle trudów. Zadziwił się atoli posłaniec, gdy owe panie nie tylko nie uwzględniły jego słusznego, jak mniemał, żądania, ale okryły go obelgami i zagroziły przyzwaniem policji.

— Niesłychane rzeczy! — zawołał ze zgrozą pan Albin. — Cóż to znowu? Kto śmie przywłaszczać sobie moją własność?...

I zapalony gniewem, wzburzony, pośpieszył co tchu na Sewerynów, gdyż powątpiewał nieco o prawdziwości zeznań posłańców i postanowił je osobiście sprawdzić.

W samej rzeczy, As, uchodząc przed natarczywymi posłańcami, schronił się na Sewerynów do domu emeryta, którego córki z niezmierną radością powitały ulubionego psa, nakarmiły przysmakami i okryły pieszczotami.

Najstarsze trzy nosiły imiona: Luta, Guta i Niuta; średnie — Anusia i Franusia; najmłodszą, najprzystojniejszą zwano Morusieńka. Luta, przeszło czterdziestoletnia dziewczyna, nazywana w domu „aniołem — stróżem rodziny”, trzęsła całym gospodarstwem, ubierała się w jasne barwy, paliła namiętnie papierosy, należała pośrednio do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt i lubiła często powtarzać:

— Moim obowiązkiem jest poświęcać własne szczęście dla dobra ojca i młodszego rodzeństwa.

Tylko jeden ojciec wiedział, że Lucie zaczął się piąty krzyżyk,

ale się z tem nigdy nie odzywał, siostry zaś zawsze ją uważały jako pannę w sam raz na wydaniu, a nie wychodzącą zamąż dlatego tylko, że „teraz takie czasy — mężczyźni się nie żenią”.

Guta chorowała na literatkę i cała rodzina uwielbiała ją jako „inteligencję”, która zawsze stanowczo rozstrzygała kwestję, jak: „Kto pisze lepiej — Syrokomla czy Kraszewski?” Obecnie wszystkie siostry wpadały w zdumienie i nie mogły odgadnąć, dlaczego As na widok książki w rękach Guty ze strachem krył się po kątach, trwożliwie pomrukując. Było to wspomnienie chłosty, otrzymanej od pana Albina za pogryzienie książki o układaniu wyźłów — wstręt, dający się łatwo usprawiedliwić.

Kiedy się tutaj zjawiał Zabrzeki, As, przybrany w błękitną wstążkę z kokardą na szyi, siedział na kanapie między Lutą i Gutą, a inne panny zbliżały się do niego nieustannie, głaskały rączkami, nazywały pieszczotliwie „Asiuniem”, o mało go nie całowały. Panu Albinowi natychmiast się przypomniały uwagi byłego nadleśnego o demoralizowaniu psów myśliwskich przez kobiety. Wyżeł też, ujrawszy swego pana i wychowawcę, przypomniawszy sobie widać rozmaite z nim zatargi, gdyż w okamgnieniu się porwał z tego ogródka rozkoszy i wskok dał nura pod kanapę.

Domyśliły się zapewne panny, że nieznajomy gość jest tym, którego posłańcy wypominali jako właściciela wyźła; Luta bowiem natychmiast oceniła trafnie przestach Asiunia i szepnęła Gucie na ucho: — „To niezawodnie ten przywłasciciel, tyran!” — Guta niebawem powtórzyła to samo na ucho Niucie i wieść się rozeszła.

Widok liczного grona kobiet uspokoił jakoś pana Albina, który w sposób wielce uprzejmy zaczął niebawem

usprawiedliwiać swoje przybycie, a następnie uzasadniać prawa własności wyżła. Czyniąc to, spotkał się niejednokrotnie z pięknymi, wielkimi i czarnymi oczyma Morusieńki. Umyślnie czy przypadkiem, najmłodsza z sióstr zajęła miejsce niedaleko okna, przez które promienie słońca padały na jej głowę i prześlicznie ją oświeślały, nadając niezwykle uroczy blask hożym licom, a — granatowy odcień lśniącym, kruczym warkoczom. Wyglądała jak nadludzkie zjawienie świętej.

Najniezawodniej ta okoliczność sprawiła, że gość przedłużał tutaj swój pobyt i pod wpływem uroczych oczu Morusieńki począł nawet rozwodzić się o takich rzeczach, które z daną sprawą nie miały żadnego związku. Co tu długo mówić? Nasz myśliwy uległ sile wzroku niewieściego i zdemoralizował się podobnie, jak jego wyżel. Atoli Luta i Guta dały mu wnet do zrozumienia, że zrobiły dla niego wielkie już ustępstwo, przyjmując nieznanomego mężczyznę w domu, gdzie są same kobiety, że więc on, pan Albin, powinienby to umieć ocenić i co żywo się wynosić.

Gość, jakkolwiek dobry kawałek filistra, nie był, widać, jeszcze skończonym nosorożcem, gdyż pociski, wymierzone przez dwie stare panny, ugodziły go w serce; ale kiedy znowu spojrzał w te wielkie, wyraziste oczy Morusieńki, dostał jakgdyby zawrotu głowy, ciężaru w nogach, zaplątania języka. Chciał powiedzieć, że mu sprawi przyjemność pozostawienie Asa w tym mianowicie domu; chciał koniecznie wyjechać z jakim nadzwyczajnie grzecznym komplementem, co to w nim ciągle się powtarzają wyrazy: „Uważam sobie za nieskończenie miły obowiązek... Będę się czuł nieograniczenie szczęśliwym”. Pragnął właśnie tak przemówić, a powiedział, że się dobrowolnie

zrzeka swojej własności, że tem bardziej nie ważyłby się teraz myśleć o dochodzeniu praw swoich na drodze sądowej...

Luta nie pozwoliła mu już kończyć i, wyjąwszy z ust papierosa, zawołała z twarzą, zapłonioną od gniewu:

— Jakiejże to własności pan się zrzekasz?... Dochodzenie praw na drodze sądowej? Owszem, bardzo prosimy! A to doskonale! Kupić psa od jakiegoś złodzieja i oddanie go właścicielowi uważać za łaskę!

Obie najstarsze siostry powstały teraz z kanapy, a za niemi uszykowały się niebawem trzy inne — i ta niewieścia falanga wyraźnie sprawiała takie wrażenie, jakgdyby chodziło o wyparcie wspólnego nieprzyjaciela. As także wychylił głowę z pod kanapy. Tylko jedna Morusieńka nie opuściła swego miejsca pod oknem, a w spokoju pełnych rysach dziewczęcej twarzy przebijało niejake pomieszanie; przynajmniej tak się wydawało panu Albinowi.

Wśród nieprzerwanego potoku słów, wypadających z ust „anioła-stróża rodziny” i „inteligencji”, Zabrzewski nie miał możliwości przemówić ani słówka na swoją obronę. Najprzód Luta wytrajkotała wszystko, co tylko wiedziała o sądowej odpowiedzialności, przyczem nie omieszkała nadmienić poważnie o stosunkach swoich z Towarzystwem Przyjaciół Zwierząt. Potem zabrała głos Guta i na oczekaniu zacytowała przypadek kary sądowej, świeżo spadłej na jakiegoś winowajcę, który podpadł pod kodeks zwierzęcej kryminalistyki. Jednocześnie wszystkie pięć ławą zbliżały się coraz więcej do pana Albina; a on w pomieszaniu składał nieustannie ukłony i z kapeluszem w ręku krok za krokiem cofał się tyłem, przesyłając spojrzenia Morusieńce. Kiedy nareszcie uderzył piętą o drzwi

przedpokoju, uważał za właściwe skłonić się z wielkiem uszanowaniem i rzucić okiem w kierunku okna po raz ostatni.

Wyszedł, a za drzwiami jeszcze słyszał wielki gwar niewieści, zmieszany teraz z triumfalnem poszczekiwaniami Asa.

Dopiero po wyjściu Zabrzezkiego Morusieńka opuściła swe miejsce pod oknem. Można przypuszczać, że dlatego siedziała tam tak uparcie, ponieważ starsze siostry uważały ją za małąletnią mimo skończonych lat ośmnastu i przynajmniej w domu nie pozwalały jej nosić długiej sukienki. Niby kwiat z pączka, wyglądała dziewczyna ze swego pensjonarskiego ubrania, usiłując całą pełnią kształtów dziewczyczych rozedrzeć ten wąski powszędy worek barwy ciemno-orzechowej. Ramiona, ściśnięte wąskimi rękawami, sprawiały zaczerwienienie i obrzęknięcie bardzo kształtnych rączek; piersi, związane pod szyję, zbyt widocznie wznosiły się i opadały; ale najbardziej ze wszystkiego raziła krótkość sukni pensjonarskiej, gdyż Morusieńka ukończyła pensję przed dwoma laty, nadzwyczajnie rosła i rozwijała się fizycznie, a ciągle nosiła tę samą odzież. Otóż, wobec osób obcych wstydziała się tego ubioru i ciągle siedziała w jednym miejscu. Zresztą, starsze siostry nazywały ją „smarkaczem”, nie pozwalały jej nigdy zabierać głosu przy gościach, a i bez gości nie powinna była wyjawiać swego zdania, gdyż to oznaczało — podług Luty i Guty — złe wychowanie. Nieraz, kiedy zaczęła mówić, starsze siostry spoglądały na nią surowo i niechętnie, a As jej się wtedy przypatrywał ze zdziwieniem.

Od niejakiego czasu atoli Morusieńka buntowała się przeciw despotyzmowi starszych sióstr; coraz częściej bowiem spoglądała w zwierciadło i ciemno-orzechowa sukienka stawała

jej się coraz wstrętniejsza. Chciała ona koniecznie chodzić w długiej sukni nie tylko do kościoła, do Saskiego ogrodu, ale i w domu.

Rzecz szczególna, skoro gość już odszedł, a panny pozostały same i robiły spostrzeżenia nad temi odwiedzinami, milcząca dotąd Morusieńka niespodziewanie odezwała się w te słowa:

— Jestem pewna, że on ma jakąś podstawę upominania się o Asa, skoro tu przyszedł!... Być może kupił psa od złodzieja, a kto wie, czy nie od papy?... Wyście się bardzo źle zachowywały z tym nieznajomym: jakieś cierpkie przycinki, wymówki!... Przez cały czas nie pozwoliłyście mu się wytłumaczyć. Co on sobie pomyśli?

Ta uwaga dziewczyny, wypowiedziana dosyć cichym, nieśmiałym głosem, wywołała straszliwy rejwach. Wszystkie razem otwały usta, łajały Morusieńkę, powtarzając nieustannie „smarkacz”. Nareszcie, gdy ją już dobrze zgromiły, zaczęły nielitościwie szydzić, jakoby usiłowała zwrócić na siebie wszelkimi sposobami uwagę Zabrzeskiego, co Guta w uniesieniu nazwała „bezczelną kokieterją.” Teraz piękne oczy dziewczyny napełniły się obfitemi łzami i wybuchło owo łkanie, które u płci pięknej stanowi cechę równie charakterystyczną, jak i język.

Te krzyki, płacze sprowadziły tu ojca, który gdzieś poza kuchnią zajmował oddzielny pokój. Córki w jaskrawych barwach przedstawiły emerytowi całe zdarzenie, odnoszące się do odzyskania wyżła, a przytem oskarżyły „smarkacza” Morusieńkę. Głównie przemawiała Luta, dzielnie ją popierała Guta, inne dorzuciły swoje. Starzec, jakkolwiek się bał swych córek i był u nich takim samym pantoflem, jak niejeden mąż

u swej żony, tym razem jednakże ujął się za „smarkaczem”, a potępił „anioła-stróża rodziny” i „inteligencję”. Co więcej, ku nadzwyczajnemu zdziwieniu i zgorszeniu starszych córek, oświadczył, że istotnie on sam Asa sprzedał, że więc prawy właściciel musi go niezwłocznie odzyskać. Luta, Guta i Niuta powstały teraz na ojca, wyrzucając mu samowolę, despotyzm i chciały go zakrzyczeć. Ale widząc, że cierpliwość dobrodusznego staruszka wyczerpała się nareszcie, gdyż poczerwieniał z gniewu, tupnął nogą i zawołał:

— Hola, moje panny, na oszusta się wykierować nie pozwolę!... Pies należy do tego, kto go ode mnie kupił i basta!

To rzekł i wyszedł z pośpiechem, ponieważ wiedział dobrze, iż nad kobiecym uporem nie odnosi się tak łatwo zwycięstwa.

Luta natychmiast dostała spazmów z biciem serca; ratowały ją wszystkie siostry, nie wyłączając Morusieńki, wśród nadzwyczajnych szlochów. As rozłożył się w kłębek na fotelu i z wielkim spokojem spoglądał na wszystko, co się działo. Już cały ten dzień był bardzo żałosny.

Emeryt musiał jeszcze nazajutrz stoczyć z córkami zaciętą walkę i dopiero potem, wzięwszy na sznurek wyżła, zaprowadził go na Erywańską, ponieważ uważał sobie za obowiązek, ażeby osobiście przeprosić pana Albina.

Zabrzeski, któremu w tej chwili wywietrzały z głowy myślistwo i wyżeł, a zato czarne oczy Morusieńki nie dawały spokoju, przyjął starca z wyszukaną grzecznością i po kilkakroć powtórzył, że dozna „niewysłowionej rozkoszy, jeżeli panny zechcą uważać Asa i nadal, jako swego własnego psa”.

Atoli pan Swojewski — tak się zwał emeryt z Sewerynowa — ani słyszeć nie chciał o tem, ażeby wyżeł znowu powrócił do

jego domu. Pan Albin rozmyślnie przeciągał rozmowę, prosił staruszka siedzieć, częstował go cygarem, mając ciągle na pamięci, że to jest rodzony ojciec pięknych czarnych oczu. Jakoż rozwiązał się język emerytowi i nastąpiły owe dobrodusze wylania, o które tak łatwo u ludzi gadatliwych i naiwnie myślących.

— Ja — mówił stary nawpół z uśmiechem — od trzydziestu lat przywykłem sypiać po obiedzie, a te moje dziewczyny rozpieściły psa, swawolą z nim... Ah, gdybyś pan wiedział, jak to jest przykro nie mieć na starość spokojnego kącika!

Zabrzeski więc nalegał grzecznie, ażeby jego As przynajmniej w godzinach przedobiednich służył pannom za rozrywkę; ale stary się na to nie chciał zgodzić i odszedł.

Mało który z mężczyzn nie wie, co to jest opętanie przez piękne oczy. Nie myślimy opisywać tego stanu duszy, ponieważ każdy człowiek odczuwa go po swojemu. Pan Albin nosił czarne wielkie oczy w swoim mózgu i stamtąd patrzyły one nań nieustannie: widywał je w powietrzu, na niebie, na suficie, na swych białych, jak śnieg, mankietach, a nawet — kiedy zamknął oczy. Polowanie, lekcje z wyżłem, wszystko to wywietrzało mu z głowy pod wpływem owych oczu.

As, wyciągnięty pod stołem, śledził nieraz ruchy swego pana, jakgdyby się obawiał, czy znowu jakie warowanie i aportowanie nie wejdzie na porządek dzienny. Widząc atoli, iż pan głęboko o coś się zamyśla, pies polował na przelatujące muchy, szczękając zębami. Czasem mu się tu sprzykrzyło, wyłaził wtedy z pod stołu, przeciągał się, ziewał i w braku towarzystwa do zabawy wymyślił sobie igraszkę, która polegała na obracaniu się wkółko i usiłowaniu schwycenia w zęby własnego ogona.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Przypisy

[1].Obecnie plac Małachowskiego. (P. wyd.)

[2].Obecnie plac Dąbrowskiego. (P. wyd.)

[3]Obecnie ul. Kredytowa (Przyp. wyd.).

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

